

BIEDNA PANI MORRIS

Magda Dygat



Magda Dygat

BIEDNA PANI MORRIS

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67021-80-7

Copyright © Magda Dygat

Projekt okładki: Olga Bołdok

*Kiedy bogowie chcą nas ukarać,
spełniają nasze prośby.*
Oscar Wilde

Na Piątej Alei tego dnia jest wyjątkowo dużo samochodów. Pada deszcz i zapach benzyny miesza się z zapachem wilgoci, farby czy plastiku. Chemiczny zapach miasta. Przechodnie przeskakują kałuże, szeleszcząc parasolami. Znikają gdzieś szybko we wnętrzach domów, samochodów, za zakrętami ulic.

Jane usiłuje ominąć kałużę, ale źle wymierza i jej pięta wpada w sam środek wody. Woda co prawda nie jest lodowata, ale zetknięcie się stopy z mokrą pończochą zniechęca starszą panią do dalszej wyprawy. Woda ścieka po niej. Jest wilgotno i szaro.

Właściwie nie ma nic ważnego do załatwienia. Chciała tylko wyjść z domu.

Patrzy na swoje przemokłe buty i człapiąc, zawraca. W niewielkiej odległości od swojej ulicy zwalnia.

Dom – to miejsce, w którym przechowuje osobiste rzeczy, dostaje codzienną pocztę, głównie katalogi firm wysyłkowych, i własnoręcznie podpisane, powielone w tysiącach egzemplarzy listy od kongresmena – nie jest przyjaznym miejscem.

Czai się tu pustka, zamknięta w przestrzeni pełnej rekwizytów z przeszłości. Od czasu do czasu Jane wydaje się, że widzi okrągłą postać w zielonej sukni, ale nie wierzy w duchy i wie, że to przywidzenie.

Jeżeli dzwoni telefon, to z pytaniem, czy nie chciałaby wymienić okien, lepiej zainwestować pieniędzy, dostać lepszej ceny za rozmowy międzymiastowe i zagraniczne. Te telefony przynębiają Jane najbardziej. Nie ma do kogo zadzwonić, za granicą ani w kraju. Jeżeli była gdzieś ostatnio zapraszana, to jedynie na wyprzedaże do sklepów. Nikt na nią nie czeka, nikomu nie jest potrzebna. Nie wie, co zrobiła źle. Ma wrażenie, że obserwuje swoje życie jak kolejkę elektryczną, jeżdżącą w kółko po dywanie. Nie może do niej wsiąść, bo za każdym razem przegapia odpowiedni moment, na pewno zrobi to przy następnym okrążeniu.

Chciałaby pójść potańczyć, ale ma spuchnięte nogi i żadne buty nie pasują.

Wszystko, na czym jej w życiu zależało, to kariera towarzyska. Miała być damą na salonach Kennedych, Vanderbiltoów, Rockefellerów i Whitneyów, gdzie traktowano by ją z szacunkiem i podziwem. Mieć Waszyngton, Boston i Palm Beach u swoich stóp. Nadawała się do tej roli. Była bystra i atrakcyjna. Uważała, że przypomina z wyglądu Elżbietę I, królową Anglii, z jej wczesnych portretów: ten sam silny charakter, długie rude włosy i dziwni rodzice. W domu nikt nie śmiał jej się sprzeciwić.

Wiedziała, że kariera towarzyska będzie zależeć od nazwiska i reputacji jej przyszłego męża. Wybierała ostrożnie. Przede wszystkim to musi być ktoś, kto nie będzie chciał mieć dzieci. – Nie mogę ich ścierpieć – odważnie oświadczała przy każdej sposobności. Starła się trzymać jak najdalej od matek wnoszących aurę zadowolenia i dumy ze spełnionej misji w stosunku do własnego gatunku.

– Matki! Nie zdają sobie sprawy z banalności faktu. Komu chcą imponować. Nie ma nic prostszego, niż zająć w ciążę, czym tu się chwalić. W końcu wszystkie to robią.

Kobiety rozmawiające o dzieciach doprowadzały ją do trudnej do opanowania irytacji, starała się za wszelką cenę unikać ich towarzystwa. W gronie mężczyzn czuła się bezpiecznie i pewnie. Miała im do zaoferowania swoją kobiecość, inteligencję, wykształcenie i doświadczenie. Od nich oczekiwała podziwu, zachwyty i adoracji.

Ale tylko zwierzęta były stałą, niepodważalną pasją jej życia. Egoistyczna i chłodna pani Morris stawiała się przy nich pełną poświęcenia samarytanką. Łagodniała, jej głos był ciepły i kojący, wykazywała cierpliwość i uczucie nie znane większości jej otoczenia. Właściwie wszystko, co fruwało, skakało czy pęzało, mogło liczyć na jej uczucie i pomoc. Wyłączając człowieka. Ze zwierzętami umiała się porozumieć, ufała im. Były wyzwoleniem, ucieczką od wszystkich trapiących ją ludzkich spraw i przeciwności losu. Działały jak terapia, pozwalały zapomnieć o przykrościach i niepowodzeniach.

Taniec był drugorzędną, ale równie ważną pasją. W nim odfruwiała do bardzo realnego świata, który stworzyła sobie w dzieciństwie.

No i oczywiście alkohol, życia bez niego również sobie nie wyobrażała. Farmakologia, narkotyki w ogóle nie wchodziły w rachubę. Jane była urodzoną konserwatystką i nie lubiła eksperymentów.

Urodziła się w stanie Tennessee w latach dwudziestych XX wieku. Była jedynym dzieckiem bogatego adwokata, pana Somersa, i jego żony Edny. Przodkowie pana Somersa, powiązani z europejskimi rodzinami, sięgającymi czasów Tudorów i Bourbonów, załęgali się w głowie małej Jane. Aczkolwiek trudno byłoby ustalić tę genealogię, od dziecka wierzyła, że jest wcieleniem królowej Elżbiety I. Związki rodzinne z francuskim oficerem Somersem, który przysłynął do brytyjskich kolonii z generałem Lafayette'em w 1777 roku, aby walczyć przeciwko Anglikom w wojnie o niepodległość, miały prawne dowody.

Antoine Somers urodził się w Paryżu z ojca Anglika i matki Francuzki. Większość życia spędził we Francji, czuł się Francuzem i mimo protestów ojca stanął przeciwko Anglikom, za co został wydziedziczony i do domu nie miał już po co wracać. Dlatego ożenił się z córką bogatego plantatora trzciny cukrowej w Georgii i zapomniał o problemach z ojcem. Do Europy nigdy już nie wrócił. Urodziło mu się dużo dzieci, wnuków i prawnuków. Niektórzy z nich powiększyli rodziny murzyńskich niewolników. W pierwszej połowie XX wieku rodzina ograniczyła się do pana Somersa i jego żony Edny.

Rodzice Jane nie byli już najmłodsi, kiedy pani Somers, znudzona monotonią małego miasteczka, postanowiła poddać się eksperymentowi, o którym słyszała różne opinie. Nie zawsze pochlebne. Podobno był jednak skuteczny na nudę. Pani Somers zdecydowała się na dziecko. Ani brydżowy klub zamężnych kobiet, ani sobotnie wieczory w kółku artystycznym, ani nawet organizacja charytatywna nie dostarczały jej już rozrywek i nie dawały satysfakcji. Każda innowacja była mile widziana.

Eksperyment nie spełnił pokładanych w nim nadziei, o czym w odpowiednim czasie powiadomiła córkę, przestrzegając ją przy okazji, że macierzyństwo jest przeżyciem mało przyjemnym i raczej nieciekawym. Jane wzięła to sobie do serca. Od samego początku czuła się rozpieszczana, ale nie kochana. Matka traktowała ją jak lalkę. Stroiła codziennie w inne sukienki: z falbankami, aksamitne, koronkowe. Wplatała kokardy w jej długie rude włosy i sadzała na kanapie, zostawiając ją tam często samą na wiele godzin. W konsekwencji Jane, odkąd pamięta, zawsze próbowała jak najszybciej wyrwać się z domu.

Pierwszy raz uciekła, kiedy miała trzy lata. Przylapali ją po drugiej stronie ulicy. Chciała mieć swoje życie, być niezależna. Na fotografii z tego okresu widać wyraźnie jej buntownicze nastawienie do świata. To zdjęcie stoi oprawione na kominku w jej domu, z dopisanym nie wiadomo przez kogo komentarzem: „Niech no tylko ktoś spróbuje mi mówić, co mam robić”.

W małej wystrojonej lalce rozwijał się człowiek z silnym charakterem, zdeterminowany szukać szczęścia na własną rękę.

Pani Somers odetchnęła z ulgą, kiedy pewnego popołudnia zobaczyła córkę tańczącą na środku salonu, z kwiatami wpiętymi we włosy. Przekonana, że nikt jej nie widzi, Jane zrzucała z siebie sukienkę, czasami wybiegała na łąkę, z dala od domu, owinięta w chusty,

obrusy, wszystko, do czego mogła mieć dostęp, a co nadawało się na przebranie. Matka obserwowała ją z okna swojej sypialni, niepewna, czy dziecko utrzymuje się w granicach wymaganego rozsądku, ale zadowolona z widoku płaszącej lalki.

Pokojówka i kucharka chichotały na widok tańczącej w salonie Jane, a rodzice w końcu potraktowali serio popisy córki i zapisali ją na balet. Okazało się, że brakuje jej wytrwałości, aby znieść rygor wielogodzinnych ćwiczeń, że preferuje swobodę ekspresji, a co najważniejsze, że nie ma w tym kierunku wielkich zdolności. Jane bez porozumienia z rodzicami sama przeniosła się na taniec towarzyski.

Miała siedem lat, kiedy z małą dziecinną walizeczką wsiadła do autobusu jadącego do Kalifornii. Wściekłą i obrażoną policjant przyprowadził do domu, a matka posadziła ją z powrotem na kanapie.

Stosunki między nimi coraz bardziej się pogarszały. Obie strony zrozumiały, że nie ma co udawać. Skończyło się przebieranie w koronkowe sukienki i zakręcanie długich loków. Za to przez parę następnych lat Jane, mimo ostrzeżeń matki, że rudzi nie opalają się, tylko czerwienieją, spędzała długie godziny na słońcu. Malowała się jej szminkami, podkradła z baru dżin.

– Zawsze dawałam sobie sama radę. Już jako dwunastolatka mogłam komuś nieźle przyłożyć, jeśli było trzeba – wspominała po latach.

Uczyła się dobrze, dużo czytała, ale w szkole nie miała przyjaciółek i jedynie od czasu do czasu pozwalała zapraszać się chłopcom do kina albo na lody i wybierała tylko takich, nad którymi miała przewagę.

Najchętniej jednak spędzała czas w swoim pokoju ze zwierzętami. Sprowadzała do domu psy, koty, czasami oswojone kawki, króliki i jeże, nigdy nie pytając rodziców o zgodę. Była grzeczna, ale chłodna w stosunku do pokojówki i kucharki.

Więcej ciepła okazywała ogrodnikowi. Kiedy przychodził, biegła do ogrodu, spędzała z nim dużo czasu, ucząc się różnych rzeczy dotyczących roślin, krzewów i drzew. Niekiedy mu nawet pomagała, co irytowało matkę.

W jakimś momencie rodzice zrezygnowali z prób wywierania na nią wpływu. Stała się dla nich utrapieniem, niewygodą, kimś, kto nie szuka kontaktów, lecz jedynie denerwuje i martwi. Nie wiedzieli nawet, jak z nią rozmawiać. Czekali, aż opuści dom i znów będą mogli wrócić do sposobu życia sprzed okresu, gdy wpadli na niefortunny pomysł powiększenia rodziny. – Nie jest osobą, która przyjmuje za dewizę dobrą radę: „Nie kłopotcz kłopotu, póki kłopot nie zakłopotze ciebie” – martwili się rodzice.

Kiedy skończyła szesnaście lat, oświadczyła, że chce pojechać w podróż po Europie. W gruncie rzeczy miała na myśli Paryż. Zgodzili się, nie ukrywając ulgi. Postawili jednak warunek, że po powrocie wyjdzie za mąż. Obawiali się, że wróci do domu jeszcze trudniejsza niż dotąd, i woleli oddać ją w ręce mężczyzny połączonego z nią legalnym związkiem.

Pan Nataniel Somers nie brał pod uwagę college'u.

Ustalono, że Jane spędzi rok w Paryżu, nauczy się języka i skończy Le Cordon Bleu, słynną na świecie od 1895 roku szkołę kulinarną. Gdy wróci, zaczną szukać dla niej męża. Jak mało znali swoją córkę i jak niewiele o niej wiedzieli, mieli się przekonać niebawem.

Wsadzili ją na statek płynący do Anglii i zawiadomili daleką rodzinę pani Somers, mieszkającą w Southampton, żeby odebrała ich córkę w porcie. Nie było czasu ani sposobności na ułożenie dobrych stosunków z angielskimi krewnymi. Pierwszego wieczoru przy kolacji, kiedy nikt nie zaproponował jej wina, wstała od stołu.

– Patrzeć, jak piją, i nie móc się samej napić, było nie tylko męczące, ale i obraźliwe – wspominała po latach, ciągle jeszcze oburzona.

Następnego dnia rano, bez pożegnania, wyjechała do Paryża. Marzyła od dawna, żeby się tam znaleźć, a incydent z winem stał się dogodnym pretekstem.

Jane Somers od razu wyeliminowała Le Cordon Bleu, dla świętego spokoju nie dzieląc się z rodzicami swoją decyzją. Nienawidziła gotować i nie miała zamiaru uczyć się czegoś, co nigdy nie miało być jej potrzebne. Po powrocie chciała zamieszkać w Nowym Jorku, w mieście liczącym około trzech tysięcy restauracji, barów i sklepów z gotowymi, wykwinutymi daniami. Poza tym, kiedy wyjdzie za mąż, będzie miała kucharkę, jeżeli nie cały wielki dom pełen służby.

Paryż, od momentu kiedy wysiadła na dworcu St. Lazar, wymazał z jej pamięci małe miasteczko w Tennessee. Wszystko, co sobie wyobrażała, okazało się lepsze, piękniejsze i bardziej romantyczne. Ani przez chwilę nie czuła się rozczarowana. To miasto było stworzone dla niej. Nie mogła uwierzyć, iż takie miejsce na świecie istnieje w rzeczywistości, i każdego ranka budziła się ze spokojem, że ciągle tu jest. Po raz pierwszy w życiu była szczęśliwa.

Paryż dawał jej wolność i anonimowość. Nie było momentu, w którym wyrwałaby się z zaczarowanego snu. Czuła się wyróżniona, lepsza. Na początku starała się ubierać i wyglądać poważniej, żeby bez problemu pić alkohol w restauracjach, nie nagabywana pytaniami o wiek. Z ulgą odkryła, że nikt na to nie zwraca uwagi, ale nie zrezygnowała już z makijażu i papierosów. Wkrótce po przyjeździe zapisała się nawet do szkoły tańca, szybko jednak zrezygnowała. Nie odczuwała już potrzeby odrywania się od świata, przeciwnie, po raz pierwszy w swoim szesnastoletnim życiu chciała do niego należeć. Godzinami włóczyła się po mieście. Zwiedzała muzea i galerie. W sklepach z ubraniami kupowała nowe rzeczy, a po przyjeździe do domu wyrzucała stare do śmieci.

Wystrojona, przechadzała się bulwarami, wchodziła do antykwariatów i galerii, dużo czasu spędzała w księgarniach, oglądając albumy, niektóre nawet kupowała. Najchętniej jednak przebywała w kawiarniach i restauracjach. Zamieszkała w Reid Hall, klubie dla pań przy Uniwersytecie Amerykańskim na Montparnasse, ponieważ to miejsce spotkało się z aprobatą rodziców, którzy w końcu finansowali jej paryską przygodę. Zapisała się na kurs francuskiego i do końca pobytu nie opuściła ani jednej godziny. Wkrótce była w stanie porozumieć się w sklepie i na ulicy bez pomocy słownika i rąk.

Amerykanki mieszkające w Reid Hall, niektóre pierwszy raz w życiu poza domem, lubiły trzymać się razem. Nawet te, które zdążyły już znaleźć sobie francuskich chłopaków. Biegały, chichocząc, z pokoju do pokoju, zwierzały się sobie nawzajem, oceniały nowo zakupione ubrania i organizowały wycieczki za miasto. Jane nie dała się wciągnąć do ich towarzystwa i one w końcu przestały zwracać na nią uwagę.

– Ostatnia rzecz, jaką bym chciała robić w Paryżu, to spędzać czas z Amerykanami, unikałam ich, jak mogłam – opowiadała po latach znajomym.

Późno w nocy, kiedy wracała przez miasto po lśniącym bruku, po którym do niedawna jeszcze stukały koła powozów, widziała siebie w jednym z nich, okrytą jedwabnym szalem, u boku mężczyzny bez twarzy, w cylindrze i fraku. Na ławce przed jej domem siedziała co noc zawsze ta sama kłoszardka, opatulona w kilka kolorowych płaszczy, przepasanych zielonym sznurem. Na nogach miała brudne żółte espadryle, obwiązane tasiemką wokół kostek, a na głowie granatowy miękki kapelusz, ozdobiony wielką czerwoną kokardą. Wokół szyi, razem z wytartym lisem, kłębiło się mnóstwo długich, pstrokatych apaszek. Popijała wino z butelki, bawiąc się zapalkami. Czasami w świetle gazowej latarni twarz kobiety stawała się zielona, a cała postać – niesamowitym, barwnym zjawiskiem.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI